

Między młotem a kowadłem - Stefan Korboński

Książka *Między młotem a kowadłem* została wydana po raz pierwszy w Londynie w 1969 roku. Jest to zbiór kilkunastu opowiadań napisanych, jak stwierdza sam autor, w 30. rocznicę wkroczenia na ziemię polskie Gestapo i NKWD. Głównymi bohaterami tych opowiadań są ludzie postawieni w krańcowo trudnych sytuacjach życiowych, spowodowanych z reguły represjami okupantów. Niektórzy z nich stojąc przed wyborem moralnym, przegrywają. Są również jednak tacy, którzy mimo represji zwyciężają, a dzięki nieprawdopodobnej wprost sile charakteru zachowują ludzką godność i człowieczeństwo. (od Wydawcy)



Książka Między młotem a kowadłem została wydana po raz pierwszy w Londynie w 1969 roku. Jest to zbiór kilkunastu opowiadań napisanych, jak stwierdza sam autor, w 30. rocznicę wkroczenia na ziemię polskie Gestapo i NKWD. Głównymi bohaterami tych opowiadań są ludzie postawieni w krańcowo trudnych sytuacjach życiowych, spowodowanych z reguły represjami okupantów. Niektórzy z nich stojąc przed wyborem moralnym, przegrywają (od Wydawcy)

Stefan Koroński

Między młotem a kowadłem

Rok wydania: 2015

Wydawnictwo Prohibita

Trzech Budrysów

Małeńka zaszyfrowana kartka przyniesiona przez łączniczkę ze skrzynki pocztowej brzmiała obiecująco:

„Zapraszam na sobotę wieczór do Świdra na kolację z noclegiem, by omówić bez pośpiechu różne sprawy. Będzie także Borowicz. Jeśli przyjmiecie, podam oddzielnie adres i godzinę. Nowicki”.

Krępy, łysiejący blondyn w średnim wieku siedzący za biurkiem, odłożył na bok świeżo otrzymany plik prasy podziemnej i uśmiechnął się do siebie. Zaproszenie bardzo go pociągało. Myśl wyrwania się z upalnej i zakurzonej, pełnej Niemców i niebezpieczeństw Warszawy, wyglądała bardzo ponętnie. Mógłby pojechać wcześniej i powłóczyć się po lesie. Już tak dawno nie wyjeżdżał z miasta. A cóż może być przyjemniejszego, niż spacer po sprężystym materacu z igliwia i zapach sosny nagrzonej przez sierpniowe słońce? Wciągnął powietrze w nozdrza, jakby go już wachał.

A może uda się wykąpać w płytkim wprawdzie, ale chłodnym, usianym źródłami Świdrze? Wieczorem z pewnością zasiądą na werandzie drewnianej willi i będzie się przyglądał ćmom, objającym się o klosz karbidówki. Wokół cisza, aż w uszach dzwoni i poczucie bezpieczeństwa. W dodatku zaprasza Nowicki, członek samej góry podziemnej i ma być także szef „Wawelu”, Borowicz, taki jak on kierownik samodzielnej organizacji podziemnej, więc chodzi chyba o coś ważnego?

Wyszedł do sąsiedniego pokoiku i podyktował dyżurnej łączniczce:

„Z podziękowaniem przyjmuję. Bolesławski”.

Sobota nie przyniosła mu rozczarowania. Do Świdra dojechał koleją bez przygód. Żandarmi i bahnschutze stali spokojnie na peronach, obserwując pociągi i pasażerów, ale nie wsiadali do wagonów, by przeprowadzać rewizje lub sprawdzać kenkarty. Dokumenty Bolesławskiego, wystawione na nazwisko poległego we wrześniu krewnego, były mocne i nie posiadał przy sobie nic obciążającego. Miał się jednak na baczności, gdyż gestapo już go poszukiwało, wobec czego, wysiadłszy w Świdrze z pociągu, śladem kilku pasażerów wprost z toru wszedł w las, omijając stację.

Włóczęga wśród sosen i kąpiel w Świdrze odświeżyły go i odsunęły w cień na kilka godzin pamięć mundurów niemieckich, łapanek ulicznych, nocnych aresztów i egzekucji. Łykał pełną piersią świeże, aromatyczne powietrze, brodząc bosy po płytkiej rzece o twardym, wyrzeźbionym przez prąd w falisty deseń, piaszczystym dnie, wypatrując w nim pióropuszków piasku, wyrzucanych przez bijące wprost z dna, lodowate źródelka. Po kąpeli położył się na ławicy suchego piasku i wystawił nagie ciało na działanie promieni słonecznych. Ogarnęło go rozkoszne rozleniwienie. Odezwało się stukanie dzięcioła, a po nim głos kukułki, której nie słyszał od wybuchu wojny. Zaczął sobie wróżyć i roześmiał się głośno do siebie, gdy wróżba wypadła dobrze.

Podchodząc o zachodzie słońca od strony lasu pod wskazany adres, zaskoczył dwóch młodych chłopców, ukrytych za kępą krzaków, wpatrzonych w przeciwną stronę, w drogę prowadzącą od stacji

kolejowej. Usłyszawszy w ostatniej chwili jego ciche kroki, odwrócili się raptownie i instynktownie wsadzili prawe ręce w kieszenie. Gdy ich mijali, przyjrzeni mu się uważnie i starszy skinął głową z uśmiechem. Odpowiedział w ten sam sposób, domyśliwszy się, że to uzbrojona osłona spotkania, która oczekiwała, że nadejdzie od strony stacji, a teraz rozpoznała go z opisu.

Wieczorem zasiadł przy stole, lecz nie na werandzie, którą zajęła obserwatorka, czuwająca wraz z osłoną nad bezpieczeństwem trzech przywódców, a w pokoju o ścianach pachnących sosną. Zamiast karbidówki, zawisła u sufitu żarówka elektryczna, ale ćmy nie sprawiły zawodu. Wpadały chmurami przez otwarte okna i odbijając się od rozpalonego szkła, spadały na stół, wijąc się na nim bezradnie i trzepocząc skrzydłami. Z lasu dochodził ciepły powiew i rechot żab w pobliskim mokradle, podkreślający tylko wieczorną ciszę, której uroku nie była w stanie zakłócić poważna rozmowa, prowadzona półgłosem przy stole.

Byli już po kolacji, którą podały dyskretnie przez uchylone drzwi, obnażone po łokcie ręce kobiece i rozmawiali od paru godzin na tematy konspiracyjne. Zgodnie z przypuszczeniem Bolesławskiego, chodziło o sprawę ważną, gdyż o skoordynowanie akcji małego sabotażu i bojkotu zarządzeń okupanta, tak by w całym kraju były prowadzone w jednolity sposób, co tylko zwiększy ich skuteczność. Dla organizacji podziemnej „Wawel”, kierowanej przez Borowicza, młodego bruneta o bladej cerze i urodzie aktora filmowego, oraz dla organizacji „Raszyn”, na której czele stał Bolesławski, były przewidziane w ramach tej akcji szczególnie odpowiedzialne zadania.

Nowicki kończył już podsumowanie wyników narady, gdy rozległo się ciche pukanie do drzwi, prowadzących na ciemną werandę. Nowicki wyszedł i po chwili wrócił z kilkoma kartkami papieru w ręku.

— Dostałem dzisiejszy nasłuch radiowy. Jeśli macie chęć posłuchać, to go przeczytam na głos?

Odpowiedzieli równocześnie „bardzo prosimy” i Nowicki zabrał się do czytania.

Podziemny komunikat radiowy, oparty o nasłuch stacji alianckich, przede wszystkim BBC, donosił o walkach na wszystkich frontach świata i o potęgających się z tygodnia na tydzień bombardowaniach Rzeszy z powietrza. W pewnej chwili Nowicki zatrzymał się, przebiegł milcząco wzrokiem parę wierszy i mruknął:

— Co za dziwny wypadek! Posłuchajcie, czytam tekst: „Według wiadomości otrzymanych przez aliantów via neutralna Szwajcaria, podczas nalotu przed paru dniami około tysiąca bombowców alianckich na Peenemünde, zginął tam szef sztabu generalnego Luftwaffe, generał-pułkownik Jeschonek, oraz dyrektor Instytutu Naukowego Wojskowego, generał-pułkownik von Wyschynski”.

— Co w tym widzicie dziwnego? — zapytał Borowicz, bawiąc się kieliszkiem.

— A to — odpowiedział Nowicki — że obaj ci wysocy wojskowi, dla których następnym awansem byłaby ranga marszałka, byli z pewnością pochodzenia polskiego. Czytuję wydawnictwa lotnicze niemieckie, przede wszystkim „Adlera” i wiem, że Jeschonek urodził się w 1900 roku w Hohensalza, czyli w polskim Inowrocławiu. Oczywiście, że polskie brzmienie jego nazwiska to Jesionek, zaś takich Jesionków można znaleźć w Poznańskim i na Pomorzu setki, jeśli nie tysiące. Jesionek urodzony w Inowrocławiu musiał być polskiego pochodzenia. A nazwisko von Wyschynski, to polskie Wyszyński.

— Z pewnością macie rację, — przytaknął Bolesławski.

— Dodam do tego, że podobno generał-pułkownik Brauchitsch to polski Brochwicz, a marszałek Mannstein to Lewiński. Także generał Blaskowitz, który oblegał Warszawę, musi być chyba polskiego lub czeskiego pochodzenia?

— Takie przykłady można mnożyć — odezwał się Nowicki. — W Prusach Wschodnich wśród junkrów roi się od zniemczonych polskich nazwisk. A gdybyście wzięli do ręki, tak jak ja przed wojną, książkę telefoniczną Berlina, to znaleźlibyście w niej tysiące nazwisk o polskim brzmieniu. Czy pamiętacie słynnego ministra rządu pruskiego Grzesinsky’ego? Także pochodzenia polskiego. Kiedyś, czekając na pociąg we Wrześni, poszedłem z nudów na cmentarz i znalazłem nagrobki z czasów pierwszej wojny światowej dwóch braci von Strbenskich, oficerów-lotników, z dopiskiem: „heldentod für Faterland bei Ostende”. Oczywiście, że musieli być polskiego pochodzenia, ale „zginęli pod Ostendą bohaterską śmiercią za ojczyznę” niemiecką.

Borowicz, który dotychczas przysłuchiwał się rozmowie bez większego zainteresowania, postanowił wmieszać się do niej i odwrócić zagadnienie.

— I odwrotnie, panowie, i odwrotnie! A iluż to mieliśmy wybitnych Polaków niemieckiego pochodzenia w armii, w rządzie, nauce i sztuce? A obok nich weźmy dla przykładu takich polskich neofitów, jak fabrykanci łódzcy John i Geyer, których hitlerowcy stracili zaraz po zajęciu Łodzi. O ile mnie pamięć nie myli, jednego za to, że zerwał z bramy prowadzącej do jego fabryki flagę hitlerowską. Śmierć ich chyba dowodzi, że jeśli nie stali się jeszcze Polakami, to w każdym razie byli lojalnymi obywatelami polskimi. Spotkałem parę miesięcy temu na ulicy w Warszawie kolegę szkolnego, wysiedlonego z Poznania, urodzonego w Polsce, ale z rodziców pochodzenia niemieckiego. Odmówił zapisania się na volkslistę twierdząc uparcie, że jest Polakiem i został wysiedlony przymusowo do Generalnej Guberni. Ale co najlepsze, nakaz wysiedlenia podpisał urzędnik hitlerowski o takim samym jak jego nazwisku. A polskie patriotyczne mieszczaństwo Poznania, popularnie zwane bambami, pochodzące od niemieckich kolonistów z Bambergu? A co powiemy o pułkowniku armii polskiej, księciu Habsburgu z Żywca, który dostawszy się do niewoli niemieckiej, wytrwał mimo tortur w odmowie wpisania się na volkslistę? Była o tym mowa w nasłuchu radiowym. Zresztą, jednym z najbardziej oddanych członków mego „Wawelu” jest chłopak, którego rodzice do wybuchu wojny rozmawiali ze sobą w domu po niemiecku! Bił się przeciw Niemcom we wrześniu, uniknął niewoli i zaraz się zgłosił do podziemia.

Nowickiemu, który w czasie tej tyrady nalał na nowo kieliszki, przebiegła jakaś myśl przez głowę i postanowił uciąć dyskusję.

— Macie zupełną rację. To zjawisko występuje po obu stronach. Dowodzi tylko względności wszystkich teorii rasowych. Decydują warunki, środowisko i kultura, w której się człowiek urodził, wychował i ukształtował. Wypijmy chyba po jednym i chodźmy spać.

Bolesławski, rozmarzony przyrodą i spokojnym, ciepłym wieczorem, zaprotestował.

— Nie mam jeszcze chęci na łóżko. Tak się dobrze rozmawia. Posiedźmy jeszcze i pogadajmy, tym bardziej że nalewka dobra i w butelce dna jeszcze nie widać.

Borowicz go poparł.

— Wyśpimy się do syta w Warszawie, a może „w ciemnym grobie”. Takiego wieczoru nie marnuje się na spanie. Mam wielką ochotę przepić tę noc.

Wychylił kieliszek i zwrócił się z przyjaznym uśmiechem do Nowickiego.

— Jeśli dobrze zgaduję wasze intencje, to chcieliście przerwać rozmowę z uwagi na mnie? Zgadłem, co? Ponieważ znamy swoje prawdziwe nazwiska, więc przyszło wam do głowy, że i ja także mogę być pochodzenia niemieckiego. Naturalnie, że jestem, ale od paru pokoleń rodzina moja mieszka na ziemiach polskich i uważa się za Polaków.

Ojciec mój, profesor, był w latach 1904-1906 działaczem socjalistycznym, oczywiście poszukiwanym przez carską policję. Warto go posłuchać, gdy mówi o tych czasach. Można się trochę nauczyć konspiracji. W roku 1920, mimo zaawansowanego wieku, wstąpił na ochotnika do wojska i bił się na froncie bolszewickim. Ja się urodziłem w Krakowie, dokąd ojciec musiał zwać przed carską policją. Słowem, prócz nazwiska, nic w nas z niemieckiego pochodzenia nie zostało.

Chwycił za napełniony w międzyczasie kieliszek i wzniosł go do góry.

— Na pohybel hitlerowcom!

— Na pohybel! — odpowiedzieli zgodnym chórem i podnieśli kieliszki do ust.

Szczeróć za szczeróć — zwrócił się Bolesławski do Borowicza i trzepnął go przyjaźnie po kolanie. — Nazwisko, jak wiecie, mam typowo polskie, z końcówką na „ski”, ale to przeróbka z niemieckiego. U mnie to wygląda gorzej, niż u was, Borowicz, bo muszę sięgnąć aż do niemieckiego zakonu kawalerów mieczowych w dawnych Inflantach, skąd pochodzi moja rodzina. Pradziadek, baron kurlandzki, był carskim generałem z funkcją przy dworze Jego Imperatorskiej Wysokości Cara Wszechrosji. Ale jeden z jego synów, a mój dziadek wykoleił się wszedłszy w środowisko rosyjskich rewolucjonistów i był zamieszany w jakiś zamach. Gdy go aresztowali, byłby wisiał, gdyby nie pozycja ojca. Wybłagał go pod warunkiem, że syn zmieni nazwisko i zniknie z powierzchni życia. Pradziadek dziadka wyposażył i wyprawił do

Kongresówki. Dziadek spolszczył nazwisko, kupił majątek ziemski i ożenił się z córką sąsiada, oczywiście Polką. Dzieci ich, w tym mój ojciec, to byli już polscy patrioci.

Roześmiał się głośno i podniósł kieliszek.

— Na pohybel carom i baronom!

— Na pohybel — odezwali się jak echo i wypili.

Nowicki napełnił na nowo puste już kieliszki i podsunął gościom. Borowicz podniósł swój pod światło, podziwiając klarowność i kolor domowej nalewki i westchnął żartobliwie, zwracając się do Nowickiego.

— Już tam na was z pewnością nie ma żadnej skazy. Wyglądacie, jakbyście pochodzili w prostej linii od Piasta. Ale, dla kompletu, powiedzcie nam coś niecoś o swojej rodzinie.

Nowicki nagle spoważniał.

— Ta rozmowa zaprowadziła nas dość daleko. Szkoda jednak, że jej się nie przysłuchują nasi domorośli rasiści. Zaczęliśmy niewinnie od Jesionka, a kończymy na sobie jako na przykładzie, że pochodzenie i rasowość, o jakich nam hitlerowcy trąbią do ucha bez końca, to fikcja, którą życie demaskuje na każdym kroku.

— Jeśli pytacie o mnie, to po stronie ojca rzeczywiście nie ma żadnej skazy, gdyż rodzina polska z dziada pradziada. Natomiast po stronie matki mam dla was niespodziankę, gdyż skaza jest, tylko bardzo już zestarzała, gdyż sięga czasów Jagiełły. Nie patrzcie na mnie z takim niedowierzaniem. Niemieckie wydawnictwa heraldyczne są najdokładniejsze na świecie i mam w swej bibliotece tom, w którym odpowiedni rozdział rozpoczyna się wzmianką, że przodek mojej matki o nazwisku znanym w literaturze niemieckiej, gdyż nosił je słynny poeta niemiecki z początku dziewiętnastego wieku, został pochowany w kościele św. Mikołaja we Wrocławiu, w roku pańskim 1432, czyli na dwa lata przed śmiercią króla Jagiełły. Kończy się zaś ten rozdział na mojej matce. Wśród jej przodków jest właściciel dóbr rycerskich i burgrabia zamku w Meseritz, co brzmi jak Międzyrzec w Poznańskim, jest zarządca majątków króla bawarskiego w zaborze pruskim i zarazem oficer armii pruskiej i uczestnik wojen napoleońskich, odznaczony Żelaznym Krzyżem, który jak stąd widać ma długą historię. Jego brat, ochotnik-wolny strzelec, walczył przeciwko Napoleonowi pod Waterloo i brał udział w tryumfalnym wkroczeniu armii pruskiej do Paryża. Nie brak też romantycznego epizodu, gdyż syn tego pruskiego oficera, a brat mego dziadka zginął w powstaniu z 1863 roku. Jakaś polska patriotka, w której się zakochał, zażądała, by udowodnił swą polskość wstąpieniem do partii, czyli według ówczesnego słownictwa do oddziału powstańczego. Niestety, dowód wypadł za dobrze i panna skończyła w klasztorze. Jak wam się podoba ta historia, opowiedziana ustami prawnuka pruskiego oficera, który walczył przeciwko Napoleonowi? W dodatku prawnuk bił się już dwa razy z Niemcami, raz w Powstaniu Śląskim, a drugi raz w tej wojnie!

Podniósł kieliszek do góry i zawołał:

— Na pohybel Prusakom!

Powtórzyli jak jeden. — Na pohybel! — i wychylili kieliszki.

Bolesławski podniósł obie ręce do góry.

— Zwyciężyliście! Kapituluję.

— Ja też — dorzucił dobrze już podchmielony Borowicz, po czym spojrzawszy filuternie na towarzyszy, dodał:

— Ładnie by wyglądała ta polska konspiracja, gdyby nie my, Niemcy!

Roześmieli się głośno, uścisnęli sobie ręce na dobranoc i poszli spać.

W parę miesięcy po tym „wieczorze szczerości” w Świdrze, Borowicz został osaczony przez gestapo, gdy wychodził wieczorem z kawiarenki i zginął bez śladu. Ten sam los spotkał wkrótce Bolesławskiego, gdy gestapo wkroczyło rano do jego kryjówki, której nikt z konspiracji nie znał, w ślad za mleczarką. Nowicki przeżył wojnę po to, by opłakiwać śmierć z rąk niemieckich rodzzonego brata i trzech braci ciotecznych, takich jak on prawnuków pruskiego oficera, odznaczonego Krzyżem Żelaznym za udział w wojnach napoleońskich.